

Joanna  
Fabicka



# Tango ortodonto



Rudolf Gąbczak

Gorzo

Rudolf 2



Joanna  
Fabicka

Tango  
ortodonto



Joanna  
Fabicka



# Tango

ortodonto

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2006  
Wydanie I  
Warszawa 2006

Wszystkie postacie występujące w książce są fikcyjne,  
a ich podobieństwo do realnych osób jest całkowicie  
przypadkowe.



## Schyłek sierpnia

Moczę lewą stopę w lazurowej cieczy oceanu, a prawą dotykam lodowatego drinka o upojnej nazwie piña colada. Z przyjemnością wdycham egzotyczny zapach raj. Wśród splątanych lian majestatycznie przechadzają się sympatyczne skorpiony. Drobnutki, biały piasek przykleja mi się do spoczonych jajek, a klimat tropików przynosi od dawna wyczekiwane odprężenie. Dwie powabne Haitanki z trudem wymachują dorodnymi liśćmi bananowca, usiłując mnie ochłodzić. Chyba je wychłostam i kupię sobie na targu nowe niewolnice...

Bęc! Mokra bryła nadbałtyckiego błota uderza mnie prosto w nos, a moje szpanerskie okulary przeciwsłoneczne Diesla (250 zeta, Stadion Dziesięciolecia) lądują na ziemi.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wybujałe oczekiwania. Z niechęcią otwieram oczy i ponownie staję twarzą w twarz z moim banalnym i pozbawionym powabu żywotem. Leżę na brudnej polskiej plaży wśród opakowań po lodach, chipsach i prezerwatywach. Obok mnie spoczywa otluszczone ciało Elki



w zbyt wyciętym kostiumie kąpielowym. Brr! Dwa kroki dalej stoi ciemnoskóry potwór i uśmiecha się do mnie radośnie, pokazując dorodne mleczaki. Górna trójka już jest ułamana. To osiągnięcie zdeklasowało Gonzo na liście znanych mi wcieleń szatana. Nastąpiła nieunikniona zmiana pokoleniowa i teraz naszym rodzinnym utrapieniem (mimo że nie należy do rodziny) jest mały Rudolf numer dwa, nieślubne dziecko moich beztroskich przyjaciół. To on zbombardował mnie błotem, a teraz radośnie obwieszcza wykonanie czynności fizjologicznej, uznawanej powszechnie za intymną:

- Udolfff ma bdzitkie balasy w majtecki!

- Tyle razy ci mówiłam, synku, że masz na imię Rudolf, a nie Udolf – dał się słyszeć monotony głos jego matki. - Potem znowu jakiś przygłuchy idiota będzie na ciebie wołał Adolf.

- Udolfff – kiwnął głową rozpromieniony chłopiec. - Balasy – dodał tryumfalnie.

Elka wścieka się za każdym razem, gdy jej dziecko jest nazywane imieniem największego zbrodniarza w historii ludzkości. Szczególnie celują w tym starszankowie. Trzeba przy tym widzieć ich minę!

Zmieniłem małemu pampersa, bo jego matka była zajęta wcieraniem w siebie kolejnej tubki jakiejś diabelskiej mikstury. Codziennie przynosi tu ze sobą całą torbę przeróżnych kremów i maści: balsam przed opalaniem, w trakcie opalania i po, emulsja przyspieszająca opalanie, spowalniająca, ochronna, nawilżająca, natłuszczająca, ujędrniająca i tak bez końca. Z nudów wziąłem do ręki jakieś pudełeczko i przeczytałem skład:

- aqua (woda),
- glycerin,
- cetyl lactate,
- decyl oleate,
- hydrogenated vegetable oil,
- parfum,
- alcohol denat????!!

Hm... mniejsza z tym. Postanowiłem nie wnikać, jaki składnik kryje się pod tą wiele mówiącą nazwą.

Potoczyłem wzrokiem po plaży. Wszędzie brzuchaci faceci i zagłodzone dziewczyny. Jak można wytrzymać bez jedzenia? Widocznie Elka myślała o tym samym, bo powiedziała, patrząc na mnie z nienawiścią:

- Gdyby nie faceci, kobiety byłyby grube i szczęśliwe.

- O co ci chodzi?

Zerknąłem na nią jednym okiem, bo drugim obserwowałem non stop mojego imiennika. Właśnie fachowo sypał piach do eleganckiej torebki spoczywającej opodal pewnej niewiasty. Zabrałem mu łopatkę i starałem się dyskretnie naprawić szkody. Opalająca się blondyna łypnęła na mnie podejrzliwie i przełożyła torbę na drugą stronę, sprawdzając wcześniej zawartość portfela.

- Przecież jesteś gruba - zauważyłem.

Gdyby wzrok mógł masakrować, byłbym w tej chwili siekanym kotlecikiem czekającym na smażenie.

- Ale nieszczęśliwa! - krzyknęła i okryła się szczelnie dwiema połączonymi ze sobą chustami typu pareo (hit sezonu), gdyż jedna okazała się niewystarczająca.

Na wszelki wypadek nie kontynuowałem tematu. W tym upale wszyscy są wyraźnie podminowani. A w ogóle, co to za przyjemność pchać się nad polskie morze? Ciasno, smród, w wodzie sinice i ciągle leje. A jak nie leje, to ukrop, od którego połowa turystów łąduje w okolicznych szpitalach. Na przeciętnego urlopowicza przypada średnio pół metra kwadratowego szarobrunatnego piachu, pełnego potłuczonego szkła i kapsli od piwa. Z obu stron jestem obłożony tłustymi ciałami zupełnie nieznanymi mi osób! Nie przywykłem do takiej intymności! Ale lepsze to niż siedzenie w Warszawie.

Za kilkanaście godzin nastąpi bolesny powrót na łono mojej patologicznej rodziny. Zamknąłem oczy i ze wszystkich sił starałem się zaznać spokoju, mimo że Rudolf tarosił mnie za slipki, domagając się uwagi. Swoją prośbę formułował w karkołomnej mieszance niemowłęcego bełkotu i nieodkrytego jeszcze narzecza suahili:

– Udolf, akaje, akaje, ta lumpa herbata.

– O Boże! – Elka spojrzała na mnie zdezorientowana. – Co on mówi?

Już najwyższy czas, żeby nauczyła się porozumiewać z własnym potomkiem. Fakt, że do tej pory tylko mnie udawało się bezkolizyjnie zmieniać mu pampersy i usypiać go, śpiewając mu własne kompozycje, nie oznacza, że będę to robił zawsze.

– Nie mam zamiaru zostać jego zastępczą matką. Powtarzam to po raz setny. – Spojrzałem Elce prosto w oczy, sprawnie pojąc małego herbatką rumiankową.

– Ooooo... – rozległ się jęk zawodu.

Otacza mnie banda bezwzględnych pasożytów! Każdy tylko czyha, by zrobić skok na moją wolność osobistą. Przecież dość mam własnych problemów. Życie niespodziewanie mi się skomplikowało. Zdałem maturę i zaraz potem nastąpiła istna lawina nieszczęść. Nie dostałem się... nie dostałem się... o Boże, co za upokorzenie, nie dostałem się na wydział aktorski! Ja! Przyszłe objawienie, utajony geniusz, prawdziwy aktorski brylant! Poległem na stepowaniu. Na prozie. Na sprawdzianie z akrobatyki. Poza tym usłyszałem, że mam niespotykane krzywy zgryz, krzyżowe ustawienie trzonowców, nosowe wiązadło i luz na stykach gardłowych. No, jednym słowem mam Sajgon w paszczy i nie ma dla mnie nadziei na żadnej scenie. Nawet awangardowej. Za to Łucję przyjęto prawdziwą owacją na stojąco. Zdała z pierwszą lokatą, a od chwili, kiedy przekroczyła bramy tej świątyni sztuki, nie odstępował jej tłum adoratorów złożony z wymizerowanych i skołtunionych studentów, wymizerowanych i skołtunionych wykładowców oraz wymizerowanych i skołtunionych nieszczęśników, którzy tak jak ja łykali łyzy goryczy. Jestem pewien, że w przypadku pięknej Łucji zdecydowała nie tylko jej nieskazitelna dykcja, zwinność akrobatyczna (jak, do licha, można zrobić szpagat bez wizyty na pogotowiu?), ale przede wszystkim mrozący krew w żyłach seksapil. Gdybym, tak jak ona, miał trochę większy biust i mniej włosów na plecach, też bym się dostał. Jestem tego pewien!

Zaprawiony przez lata porażek przełknąłem jakoś tę katastrofę i siłą rozpędu złożyłem papiery na produkcję. Postanowiłem za wszelką cenę dostać się do Filmówki i osiągnąć cel metodą małych kroków.

Niestety, tam też mnie nie chcieli. Trzymałem już nóż na gardle, by w akcie protestu podciąć sobie cokolwiek, gdy Bulwiak poddał mi świetny pomysł. Od czasu do czasu miewa jeszcze przebłycki świadomości. W tych rzadkich chwilach kontaktu z otoczeniem jego rady są na wagę złota. Zaproponował, bym napisał odwołanie do szanownej Komisji Egzekucyjnej. No to się odwołałem w tonie nonszalancko-patriotycznym, tym bardziej że sam egzamin przypominał grę w rosyjską ruletkę. Pytania były kompletnie pozbawione sensu (na przykład o to, gdzie znajduje się sztandar PZPR, skoro w 1989 roku ktoś rzucił hasło: sztandar wyprowadzić!). Dziś wiem, że popełniłem kardynalny błąd, starając się doszukać sensu w tych zagadkach i tym samym nadać sens własnym odpowiedziom. Przecież od przyszłego kierownika produkcji nikt nie oczekuje logiki, tylko szybkich reakcji w sytuacjach ekstremalnych! Niestety, zrozumiałem to za późno. Ale nie wszystko stracone! Machnąłem odwołanie, starając się wykazać w nim, że jestem dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebują: nieprzewidywalnym wariatem gotowym na każdy akt desperacji. Jeśli to nie chwyci, to zostanie mi tylko zatrudnić się w tamtejszym bufecie na stanowisku początkującego pomywacza, by w przerwach między myciem popielniczek a rozmrażaniem zawsze wczorajszego bigosu łyknąć nieco legendarnej atmosfery sztuki. Poza tym muszę koniecznie coś wykombinować, bo rodzice odmówili dalszego łożenia na moje utrzymanie. Żeby kopać leżącego?! No po prostu szczyt okrucieństwa!

Dobra, zbieramy się z plaży. Idziemy na rybkę. Muszę tylko załadować na grzbiet dwa koce, wózek

spacerowy, torbę z resztką prowiantu, koło ratunkowe (dla Elki i Rudiego), parawan, zestaw do zabaw w piasku, piłkę, paczkę pampersów, meksykański kapelusz, pluszowego delfina w skali 1:1 i Rudolfa. Problem polega na tym, że on znajduje się w ciągłym ruchu. Mam nadzieję, że nie ugrzęznę na wydmach tak jak wczoraj. Dotarłem do smażalni, gdy Elka wyciągała sobie z zębów ostatnią ość, a do jedzenia zostały już tylko przypalone flądry.

Wieczorem. Temat przewodni:  
„Samotny kolo na molo“

Czuję się jak statystyczny Polak: stary, zmęczony, pozbawiony radości życia, z brakami w użębieniu i bez ochoty na seks. Swoją drogą przy Elce poległby nawet Aston Kutcher, boski narzeczony Demi Moore (młodszy od niej o 20 lat). Co to jest, do cholery, że ona zawsze traktuje mnie jak osobistego małżonka trzydzieści lat po ślubie? A tak mnie namawiała na wspólne wakacje! Teraz wiem, że potrzebowała darmowej niańki. Nieustannie podrzuca mi tego półsierotę, a sama biega cichaczem na jakiś aerobik, bicze wodne i ćwiczenia oddechowe.

- Prawidłowe oddychanie rozrzedza limfę i zapobiega tworzeniu się złogów tłuszczowych w organizmie.

Ja tam nie chcę być złym prorokiem, ale Elce chyba mało co pomoże. Złogów ma pod dostatkiem i tylko silna depresja mogłaby ją nieco odchudzić. Nie powiedziałem jednak tego głośno, bo w odróżnieniu od moich rodziców nie jestem sadystą-pasjonatem i nie znęcam się nad ludźmi stojącymi nad przepaścią

życiową. Elka jedzie wkrótce do Londynu, w odwiedziny do Ozyrysa. Będzie walczyć o jego uczucia. Trochę się obawiam o mojego kumpla, bo ta bezwzględna niewiasta zapowiedziała, że zastosuje wszelkie techniki manipulacji, poczynając od seksu, a kończąc na praniu mózgu.

W przededniu osiemnastych urodzin, zamiast podrywać panienki w nadmorskim kurorcie, siedzę więc samotnie na molo, tuląc w objęciach cudze dziecko i sprawdzając co chwila, czy nie trzeba mu zmienić pieluchy. Walczę z narastającą pokusą wrzucenia go do morza. Niestety, mam za miękkie serce. Szczerze mówiąc, nie tak wyobrażałem sobie wkroczenie w dorosłe życie. Marzę już tylko o tym, żeby przejść spokojnie na emeryturę. Jak będę stary i niedołężny, może wszyscy dadzą mi wreszcie święty spokój.

28 sierpnia

Mało nie spóźniliśmy się na pociąg, bo Elka uparła się, żeby poczekać na wypróżnienie. Rudolfa, rzecz jasna. Ale on tylko wytrzeszczał te wielkie i piękne jak czarne węgle gały i bawił się swoimi włosami. Będzie miał w przyszłości przepyszne afro. Po ojcu odziedziczył naturalny powab i wdzięk. Jakie to szczęście, że nie jest podobny do Elki. Co prawda, porodem, który widziałem zresztą na własne oczy (co za pech!), udowodniła, że jest stuprocentową kobietą, ale ja i tak podchodzę do tego faktu sceptycznie. Ona jest bardziej męska niż wszyscy faceci w mojej rodzinie.

W przedziale jechaliśmy z psychicznie chorą kobietą, która nieustannie zanudzała nas pytaniem:

- Panie, to Chińczyk?

- Nie, to Polak z egipskimi korzeniami - wyjaśniałem na początku uprzejmie.

Przeraża mnie ignorancja polskiego społeczeństwa. Przy drugiej serii tego zwariowanego dialogu Elka wróciła do palenia i zostawiła mnie sam na sam z wariatką. Rudolf był wyraźnie zachwycony tym, że jest w centrum zainteresowania. Machał rączkami i raz po raz wymierzał mi siarczysty policzek.

- Panie, to chyba Chińczyk, co nie? - Kobieta najwyraźniej cierpiała na zaawansowaną demencję. - Bo wygląda na Chińczyka...

Mały kwiknął z zachwytem i spadł z siedzenia, ale na szczęście złapałem go za nogę.

- To Egipcjanin - powtórzyłem, tracąc z wolna cierpliwość. - Chińczycy mają skośne oczy.

- Aha - sapnęła moja rozmówczyni ze zrozumieniem.

Nie minęła minuta, gdy usłyszałem:

- Panie...

- TAK!!! TO CHIŃCZYK!!! - wydarłem się jak polityk w trakcie cywilizowanej debaty.

- Coś pan, zgłupiał? Wcale niepodobny do Chińczyka - zdziwiła się zbzikowana jędzka.

Na to wszedł konduktor i sprawdzając bilety, mruknął pod nosem:

- Pewnie, że nie Chińczyk. Żeby Chińczyka od Murzyna nie odróżniać...

Dawniej podejrzewałem, że żyję w domu wariatów. Dziś mam pewność.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Warszawy, Rudolf zasnął, ssąc kciuk, i wyglądał tak słodko, że nie pozwoliłem go Elce wziąć na ręce. Zrobiła mi szeptem dzięką



awanturę, ale jak mogłem się zgodzić? Ona jest tak znerwicowana, że ciągle coś upuszcza!

Na peronie stał cały komitet powitalny: mama, tata (po minach widać było, że znowu są w stanie wojny), mama Elki, mama Oziego i niezawodny ziomal BB Blacha 450. Całe szczęście, że po nas przyjechał, bo z całym tym majdanem nie dotarlibyśmy w żaden sposób do domów. Odkąd porzucił Młodzież Ziem Przodków i zaczął działać w lewicowej młodzieżówce na szczepku wojewódzkim, przesiadł się ze starej skody w nowiutką beemkę. Mama nie może darować ojcu, że tak szybko wycofał się z polityki:

- Gdyby nie twój słomiany zapał, też byśmy mieli taką brykę - powiedziała do niego jak zwykle z wyrzutem, poprawiając na głowie imponujący kok z długich, krwistoczerwonych dredów.

Ojciec mruknął coś zawstydzony, bo chociaż niedługo stuknie im jakieś tam srebrne czy brylantowe wesele, nadal nie uodpornił się na maminy krytycyzm. Potem wszystkie trzy kobiety rzuciły się na małego Rudolfa, jakby był co najmniej nowym wcieleniem Buddy, trajkocząc jedna przez drugą:

- A kizia, kizia, ziabecko!

- A dili, dili, koteczku!

- A guga, guga, skalbecku!

Rudolf spojrzął na nie, uśmiechając się od ucha do ucha, po czym donośnie beknął, co zostało przyjęte prawie zbiorową histerią. Według mnie kobiety powinno się izolować od dzieci, bo dostają małego rozumu.

Po załadowaniu gratów do wypasionego bagażnika wypasionej beemki okazało się, że trzeba wezwać taksówkę, najlepiej busa. Było nas całe mrowie,

co potwierdza tezę, że jednostki patologiczne mnożą się w społeczeństwie bez żadnego umiaru. W dodatku na tylnym siedzeniu z godnością spoczywał Bulwiak i prowadził ożywczą pogawędkę z wyimaginowanym rozmówcą.

- Oliwkowa pulpa i wytłoczyny pozostałe po pierwszej szarzy pułku ułanów zaiste przechowuje się w szczelnie zamkniętych szkatułach, które zawierają wszystkie insygnia władzy cesarskiej.

Biedakowi już dawno pomieszało się w głowie, żyje już tyle lat, że sam nie pamięta, kiedy się urodził. Po śmierci babci kompletnie się załamał i tylko czasami odzyskuje dawną intelektualną sprawność. Zawsze gdy go widzę, serce mi topnieje od niewysłowionej czułości. Kocham go bardziej niż matkę i ojca razem wziętych, co oni przyjmują zresztą z wielką wyrozumiałością.

- Miłość zobowiązuje. Wiesza ci kamień u szyi.  
- Tak kiedyś mama streściła swoje poglądy na temat tego najwznioślejszego uczucia, wynoszącego ludzkość ponad królestwo zwierząt.

Kiedy nadzieja naszych połączonych rodzin została bezpiecznie umocowana w dzieciennym krzeselku, pochyliłem się i z uczuciem pocałowałem Bulwiaczka w jego dorodną brodawkę na sinym nosie. Podniósł mętne oczęta i złożył mi na dłoni uroczysty cmok, mówiąc przy tym:

- To dla mnie zaszczyt, hrabino.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie, murgrabio - odpowiedziałem i wpackowałem się obok niego.

Blacha ruszył z fasonem, pałac gumy i zostawiając na chodniku Elkę razem z jej wybujałym mniemaniem o sobie.

W domu

Zawsze kiedy mam przekroczyć progi rodzinnego domu, natychmiast uruchamia się mój instykt przetrwania, każąc mi zachować wzmożoną czujność. Spadająca z nienacką na kark gilotyna jest jedną z najłagodniejszych form powitania, jakie czeka na domowników. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać, choć wiadomo, że zawsze najgorszego. Czasem czuję się, jakbym mieszkał na bombie z opóźnionym zapłonem. Tym razem, gdy tylko wtarabanił się do przedpokoju, na moją twarz spadło coś śliskiego i lepkiego. W takiej sytuacji od nikogo nie można wymagać, żeby zachował się jak mężczyzna.

– Aaaaaaaa!!!! – W popłochu przewróciłem ojca i kotłowaliśmy się u maminych stóp niczym obłąkane karły.

– Powstać! – padła komenda. – I bez hysterii.

Łatwo to powiedzieć komuś, kto w katowaniu bliźnich osiągnął najwyższy stopień wtajemniczenia. Kiedy rozcierałem obolałe kolana, mama wyjaśniła, że podzieliła maskującą siatką wszystkie pomieszczenia w domu, wyznaczając tym samym terytorium męskie i żeńskie. Tym gestem odcięła się kategorycznie od jakichkolwiek związków przyczynowo-skutkowych z nami, czyli z samcami. Znaczący się z gorszą częścią ludzkości.

Ojciec spojrział na mnie i ukradkiem narysował sobie kółko na czole.

– Widziałam – wyszczała mama. – I powiem tylko, że się zemszczę.

Od kiedy zacząłem rozumieć, co oznacza pojęcie ludzkiej godności, obiecywałem sobie, że stawię czoło

tej bezwzględnej tyranii, nawet gdybym miał za-  
wezwąć na pomoc Komitet Helsiński. Niestety, wła-  
dza mamy wykracza poza możliwości zwykłego  
śmiertelnika.

Siatka była przymocowana pinezkami do ścian  
i sufitu, co umożliwiała unoszenie jej i przechodzenie  
dołem. Całe szczęście, bo strach pomyśleć, co by było,  
gdybyśmy zostali odcięci od toalety! Po „męskiej“  
stronie znajdowały się wszystkie znieawidzone  
przez mamę obiekty: pralka, zlewozmywak, kuchen-  
ka gazowa, a to oznaczało ponad wszelką wątpliwość,  
że związane z nimi czynności przypadną w udziale  
właśnie nam. Na Gonzo nie ma co liczyć w tej kwestii,  
ojciec jest kompletnym ciamajdą (smażąc kiedyś ja-  
jecznicę z dziesięciu jaj, tylko trzy zdołał wybić wprost  
na patelnię), Bulwiak ma parkinsona i sklerozę. Jedy-  
nym, którego w tej sprawie można bez skrupułów  
wykorzystywać, jestem ja. Ciekawe, dlaczego już  
mnie to nie dziwi? A przecież dopiero co wróciłem  
z wyczerpujących wczasów, padam z wycieńczenia,  
w dodatku dziś są moje urodziny! Czy nikt już o tym  
nie pamięta?

Całe szczęście, że nie umarłem ze zgryzoty, bo po  
chwili mama zamknęła się z ojcem w kuchni, zawiera-  
jąc tymczasowy pokój. Już myślałem, że robią podział  
majątku w razie rozvodu, ale nie. Wkroczyli, niosąc  
dumnie tort z zapalonymi świeczkami. Jedyne zgrzyt  
stanowiła ich liczba: 19. Tuż po złożeniu mi oględnych  
życzeń (mama: „wszystkiego najlepszego, jeśli to co-  
kolwiek pomoże“, tata: „zdrówka“) rodzice rozpoczę-  
li zajadły spór na temat mojego wieku. Tym razem  
wygrał ojciec, zgadując, że kończę 18 lat. Ale to chyba

nie jest normalne, kiedy rodzice nie bardzo się w tym orientują, prawda?

Kiedy wreszcie udało mi się zdmuchnąć świeczki (chyba po raz pierwszy w życiu nie przypaliłem sobie włosów), mama wypięła lichą pierś:

- Mamy dla ciebie prezent.

- Prawdziwy prezent na prawdziwe dorosłe życie - dołączył się ojciec, ale zaraz porzucił ten entuzjastyczny ton i spuentował grobowo: - Taaa... bo teraz to już będzie z górki. Ani się człowiek obejrzy, a minie mu życie i będzie kopał w kalendarz.

- Hm, więc założyliśmy ci z ojcem indywidualne konto w banku - mama pękała z dumy - emerytalne.

Gdy jeszcze Gonzo wręczył mi przewiązany wstążką prezent, mogłem spodziewać się już tylko najgorszego. I nie myliłem się. W środku był preparat witaminowy na prostatę i płyn na porost włosów. Przed północą wpadli Filip z Helą i przynieśli mi wspańskiego francuskiego szampana. Chociaż oni mieli dobry pomysł. Niestety, przy otwieraniu dostałem korkiem w oko. Już taki mój los...

## 1 września

Nie wyspałem się. Przez pół nocy tkwiłem przed lustrem w łazience, sprawdzając, czy przypadkiem nie łysieję. Byłby to straszny niefart. W naszym domu ta przypadłość dotknęła już śp. babcię, Oponę (też świętej pamięci) oraz ojca (jeszcze żyje). Ten płyn na porost włosów nie dawał mi spokoju. Może to taktowna aluzja? Eee, chyba jednak zwykły żart. Nie zobaczyłem na razie żadnych zakoli, ale muszę być czujny.

Gonzo pomaszerował dziś dumnie do świątyni wiedzy. W szkolnym garniturku wygląda jak kosmita. Próbowiałem podnieść jego plecak ze szkolną wyprawką. Chryste, waży chyba ze dwadzieścia kilo. I jak te biedne dzieciaki mają mieć proste kręgosłupy? Jak tak dalej pójdzie, to za dwa lata Gonzo będzie jeździł na wózku inwalidzkim, urządzając wyścigi z Bulwiakiem. Jeśli oczywiście Bulwiaczek dociągnie do tego czasu. Spożywa już tylko produkty półpłynne, mamląc je uparcie bezzębnymi dziąsłami. Potajemnie daje mu od czasu do czasu łyknąć koniaczku trzymanego w kuchni na czarną godzinę. Odzyskuje po nim trzeźwość umysłu i opowiada nam sprośne historie ze swego życia. Siedzimy wtedy z ojcem i z Gonzo u jego stóp i słuchamy jak zakłęci.

Od samego rana mama zagoniła mnie do pestkowania śliwek. Będziemy robić powidła. Znając życie, pewnie ja będę je robił. Siedzę już dwie godziny, zostało mi jeszcze siedem kilo. Trochę mi wolno idzie, bo mam na nosie czarne okulary przeciwsłoneczne, pod nimi zaś przepiękne limo od wczorajszego szampana. Oto wkład mego brata w uczczenie mojej osiemnastki.

Po godzinie dobijałem do piątego kilograma, kiedy weszła mama:

- Na śmierć zapomniałam. List do ciebie. Leży tu od paru dni. Z Filmówki.

Z Filmówki? Ostrze noża zjechało po pestce, przecinając mi nadgarstek.

- Tylko mi się tu nie tnij. Może cię jednak przyjęli?

Boże, ważą się moje losy, moje „być albo nie być“, a ona mówi o tym, jakby to było zawiadomienie o otwarciu nowego sklepu! Rozerwałem kopertę, omal nie wybijając sobie zęba.